WICI WIELKOPOLSKIE

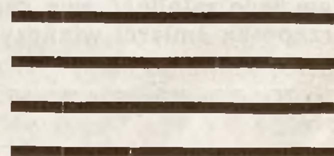
MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE

ROK IV | POZNAŃ LIPIEC-SIERPIEŃ 1934 | NR. 7-8 (34-5)

Wydawca: ANDRZEJ PRĄDZYŃSKI | Redaktor: MARJAN TURWID

ST. WOJCIESZYŃSKI „GŁOWA WIELKOPOLANINA“ Drzeworyt oryg.

AUTORZY ZESZYTU



STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI:

„FRAGMENT NIEZNANEGO POEMATU"

Zachowało się, jak dotąd wykazują badania puściny rękopiśmiennej, pięć utworów poetyckich Stanisława Przybyszewskiego.

Pierwszy, najstarszy wogóle zabytek twórczości poety, to wierszyk imieninowy skierowany do matki, Doroty, dnia 6. lutego 1878. Porównaj: St. Helsztyński, Ruch Literacki, listopad 1933.

Drugi zyskał pewien rozgłos. Adresowany był do Józefa Kraszewskiego z okazji jego jubileuszu. Data powstania: 15. styczeń 1879 Patrz: A. Bar. Pierwszy utwór S. Przybyszewskiego, Kraków 1926.

Trzecią poezję stanowi „Marzenie" (fragment). Dochował się w posiadaniu Praksedy Żmudzińskiej w Krobi, w powiecie gostyńskim, posłany jej przez autora w okresie od stycznia 1885 do marca 1886. Opublikował go Adam Münnich w „Głosie Lubelskim", nr. 141, rok 1929.

Czwarta część to „Fantasmeta" z sierpnia 1886 roku, z mottami z Byrma i Heinego, melancholijny, pełen sztucznej rozpaczy poemat, natchniony bez wątpienia nieszczęśliwą miłością do panny Heleny Schiller, siostry kolegi szkolnego, późniejszego księdza Władysława Schillera z Dakowych Mokrych. Druk ukaże się wraz z listami do bohaterki w Zbiorze, przygotowywanym przez piszącego te słowa dla Tow. Przyj. Nauki i Sztuki w Gdańsku.

Poemat piąty, z którego drukujemy w Wiciach część pierwszą, nigdzie nie publikowany, pochodzi ze zbiorów po śp. Paulinie Pajzderskiej, korespondującej z Przybyszewskim w latach 1889 i 1890. Byłbym skłonny przypuszczać, że urywki te odnoszą się również do nastrojów, wywołanych uczuciem dla bohaterki z Dakowych Mokrych. Nie jest wykluczonem, że już „Marzenie" miało ją za temat. Trzy ostatnie utwory łączy pod względem formalnym strona zewnętrzna, budowa wiersza, rytmika, równa ilość zgłosek i podobny, niewysoki stopień całego kunsztu wierszopisarskiego. Ważniejszym sprawdzianem jest ich wspólny minorowy ton, rekwizyty weltschmerzu romantycznego, poza, w której lubował się Przybyszewski w wyższych klasach gimnazjum wągrowieckiego.

Nie posiadając walorów artystycznych, są wiersze Przybyszewskiego ważnym dokumentem z okresu jego pokwitania, dojrzewania, przeżywania silnego uczucia dla kobiety o parę lat od niego starszej, idealizowanej, rzucającej go jednak wobec konkretnych propozycyj małżeńskich ze strony człowieka na stanowisku. Poematy Przybyszewskiego nie były jedynie wprawkami w pisaniu, były owocem rzeczywitego, głębokiego przeżycia. Posłuchajmy z uwagą pieśni tragicznego kochanka.

Stanisław Helsztyński.

x Styller

W kształt tego słońca, co choć zapadło
Jeszcze na niebie blaski rozsyła —
Tak choć natchnienie w piersi już zbladło,
Jeszcze tam pieśni, co się prześniła,
Zbłąkany promień odblaskiem krwawy
Łamie i gnie się w duszy krysztale
I płomienistej uczucia lawy
Nitką purpury obszywa fale . . .
Luba bądź dumną. Zgasłego słońca
Ostatnim blaskiem złocił ci skronie —
A ty jak gołąb biała i drżąca
Jak do modlitwy złożyłaś dłonie,
Cała wsłuchana w pieśni kaskady
W młodziana czoło wpatrzona bratnie . . .
Luba bądź dumną. . . . , On wielki — blady
Wyrwał z swej duszy garście ostatnie
Powiędłych astrów — i kwiatów deszczem
Spadły ci u nóg w przedwczesnym skonie . . .
O! bo on wtedy był grobów wieszczem
Wielkim prorokiem na swojej trunie . . .

Owiany mgłami księżyca łuny —
On — wieszcz potężny rwał z duszy słowa —
Uderzał w serca ostatnie struny . . .
Potęgą myśli spłonęła głowa
I z serca trysło iskier tysiące —
I jako morza fala kipiąca,
Słowa z poety ust się polały, . . .
Tryszcząc srebrzystą pianą boleści. —
I wszystkie bóle tam się rozdrgały,
Ile ich w sobie, dusza pomieści . . .

I zdało mu się, że świat był trumną
Gdzie swej młodości pogrzebał tchnienia —
I myśli swojej potęgę dumną
I swoje wszystkie serca pragnienia . . .
On — arcykapłan ziemię cmentarną
Rzucał na trumnę z szalonym bólem
I nad tą świata potęgą marną
Był jednym wielkim boleści królem . . .

On w swojej mocy tą świata trumnę
U nóg jej rzucił czarną — spleśniałą
Tam jego młodość swe czoło dumne
Przepaską śmierci wieńczyła białą . . .
— — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — —

I pieśń skonała, prysły widziadła,
Tylko noc więcej jeszcze pobladła,
A gdzieś na głuchym, samotnym stepie
Ostatnie pieśni konają echa . . .
Szumi burzanów wyschnięta wiecha,
To ptak do lotu skrzydła zatrzepie. —
Jakieś się tony w górze kołyszą —
A potem wszystko znów kona, ciszą . . .
— — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — —
O! jakże strasznie, jakże boleśnie
Nosić w swej piersi zaklęte pieśnie
I tłumić w sercu piekielny żar, —
Iść wciąż bez celu, błądzić samotnie,
Gdy serca tętno nigdy ochotnie
Już nie zabije na życia czar —
Tęsknić za szczęścia ubiegłym cieniem,
Patrzeć z bolesnem rozpaczy drżeniem
Na gwiazdy życia samotny skon —
Słuchać, jak gdzieś tam w ciemnej oddali
Na mgieł szerokiej, błękitnej fali
Jęczy rozmglony piosenki ton! . . .
O! jakże strasznie, jakże boleśnie
Nosić w swej piersi mogilne pleśnie
Tęschnoty głuchy, bezsilny jęk —
Być jeszcze młodym, a bez młodości
Bo w zgasłej piersi już starość gości
Prześnionych wspomnień odległy dźwięk!
I sił strawionych ostatkiem gonić
I zapas życia tak wcześnie strwonić
Wśród życia burzy, wśród życia fal —
Mieć w piersi echa, co już skonały; —
Potężne pieśni, co już przebrzmiały
I straszny — głuchy mieć w sercu żal! . . .
Pocóż więc pocóż w błocie i brudzie
Wlec straszny balast na życia grudzie
I ślad swej drogi oznaczać krwią —
Błąkać się dłużej w zaklętym kole,
Męczeński wieniec nosić na czole,
Słyszeć jak wszyscy wokoło drwią!?
Łudzić się błędnym blaskiem omamień,
Przeszłości nosić w swem sercu kamień
I błagać ludzi o serca lód,
I roić pieśni, lecz nie mieć siły,
By módz je wskrzesić z myśli mogiły
W życia promienny, świetlany cud.
Jest wiele pieśni bez życia siły —
Jeszcze nikomu wieńca nie zwiły,
Na pochyloną, zbolałą skroń . . .

W serca tajemnej skryte głębinie
W słowa wcielona żadna nie spłynie
W życia ludzkiego bezdenną toń...
Tych smutnych pieśni, co w wiecznej ciszy
Serca spoczęły, (nikt nie posłyszy),
Jak tajemnicę zabiera grób —
Słowa potęgi, a znów tych pieśni,
Co je w marzeniu senna pierś prześni
Nie złączy nigdy mistyczny ślub...
Tak są też ludzie, bólu synowie
Anioł cierpienia stał przy ich głowie,
Kiedy witali życiowy dzień, —
Męczeństwa znamię wyrył na skroni,
Rękojmię szczęścia wytrącił z dłoni,
Nad niemi śmierci rozpostarł cień...
Widny na czole błysk genijusza,
Ale w niemocy spowita dusza
I same smutne piosenki śni...
Echem im żadna pierś nie odtętni —
Za sobą wloką — samotni smętni
Głuche wspomnienia żałobnych dni...
Lecz dość tej skargi, westchnień zawiele,
Co się w samotnym serca kościele
Rozległy echem boleśnych łkań —
Skargą nie uśpisz serca cierpienia,
I w pieśń nie rozdrgniesz zatrute tchnienia,
Szczęścia nie wskrzesisz męczarnią łkań —
Łzą nie wytworzysz czynu z bezsiły,
A co zamarło, tego z mogiły
Nie wzbudzisz, dumką senliwych pól...
A z mgły wspomnienia nie stworzysz ciała,
I jeszcze skarga smutku nie zwiała
Z czoła, na którem zagościł ból...
Jest jednak pamięć w duszy niestarta
Dawnych pamiątek i wspomnień karta,
Załopne requiem prześnionym snom...
Dziś wprawdzie szałem i krwią splamiona —
Lecz kiedy życie w mej piersi skona
Będzie świadectwem tęsknoty łzom —
Z piersi dziś wyrwę święte pamiątki
Garść zwiędłych astrów — relikwii szczątki
Mój pożegnalny żałobny śpiew —
Co się prześniło w mej błędnej myśli,
Co głucha rozpacz wspomnień nakreśli
I co się wpiło w sercową krew. —
Z tych wszystkich wspomnień wianek uplotę
I nim przystroję ziemską kobietę;
Aniołem wzlecisz w niebieską toń —
Cha! już ją widzę tam gdzieś na niebie,
Pójdziemy razem — idę do Ciebie,
O luba! podaj mi swą dłoń...
A! ...weź ten wianek, okręć nim czoło
On się roztęczy blaskami w koło,
Jak bohatera rozgłośny czyn!
Nie gardź nim luba — smutny w żałobie,
Lecz to mój ślubny podarek Tobie
Nic więcej nie mam — bom bólu syn!

Dawniej bez serca, dziś bez rozumu
O luba moja, nim zginę —
Tobie wśród głuchych pamiątek szumu
Ofelii wianek uwinę —
Ty go drżącemi weźmiesz rękoma
Jak wąż ci czoło okręci —
Oto są astry róże i słoma
I to są kwiaty pamięci...

Z dawnych pieśni —
Goplana.

CZESŁAW KĘDZIERSKI:

O ZŁYM MAĆKU I DJABLE BORUCIE

(Z OPOWIEŚCI WIELKOPOLSKICH „WUJKA CZESIA“)

Na południe od Poznania leży nad rzeczką Orlą miasteczko Koźmin, założone przed przeszło 800 laty. W miasteczku tem wznosi się zamek, pamiętający dzieje siedmiu stuleci, dzieje kilku możnych rodów. Pierwszym panem tego zamku był Maćko Borkowic, wojewoda poznański, syn dobrze zasłużonego Ojczyźnie Przybysława.

O tym Maćku Borkowicu różnie sobie ludzie opowiadali, ale nigdy nic dobrego. Był to człek porywczy, gwałtowny, a przedewszystkiem chciwy złota. Miał bogactw bez liku, ale wszystko to mu nie wystarczało — pragnął mieć jeszcze więcej. Więc przemyśliwał, jakimby sposobem zdobyć jeszcze większe skarby. I wtedy w wielkiej swej chciwości pomyślał, że może będzie dobrze zawrzeć umowę z samym djabłem. Dlatego przed północą zasiadł w ulubionej swej komnacie na wieży obronnej zamku. Noc była bardzo burzliwa, deszcz lał jak z cebra, wicher huczał i jęczał, błyskwice zapalały się na niebie, pioruny strzelały dokoła. W taki to czas Maćko Borkowic zaczął wzywać do siebie djabła, księcia piekła. Nie czekał długo. Wśród huku gromów z trzaskiem rozwarły się drzwi komnaty i przed Maćkiem stanęła olbrzymia postać djabła Boruty.

— He, he, panie Maćku — zachichotał Boruta — wzywałeś mnie! Czego ci potrzeba.

— Tak jest, panie czarcie, wzywałem ciebie, — rzekł Maćko chciwy złota. Chciałbym mieć złota, jak najwięcej skarbów, więcej niż sam król.

— Bagatela! — zawołał Boruta. — Podam ci sposób na zdobycie pełnych skrzyń złota i wszelakich skarbów. Ale w zamian, gdy ukończysz 50 rok życia, oddasz mi dobrowolnie swoją duszę.

— Hola, panie djable, rzekł Maćko. W takim razie oprócz złota musisz mi przyrzec, że spełniać będziesz wszystko, czego tylko zapragnę.

— Dobrze, panie bracie — zawołał znowu Boruta — będziesz miał wszystko, czego zapragniesz. Ale, gdy ukończysz 50 rok życia, oddasz mi swoją duszę dobrowolnie.

— Co to znaczy dobrowolnie? — zapytał Maćko.

— To znaczy — odrzekł Boruta — że gdy się zgłoszę, dobrowolnie zeskoczysz z wieży zamkowej.

Maćko, oślepiony chciwością złota, zgodził się na to i dał djabłu na to swe słowo szlacheckie, że przyrzeczenia dotrzyma i zeskoczy z wieży zamkowej.

Wtedy Boruta powiedział mu: — Jutrzejszej nocy przejeżdżać tu będzie karawana kupców drogą leśną z Gostynia. Wiozą oni trzy ładowne skrzynie wyrobów ze złota i drogich kamieni. Wyjedź naprzeciw nim i napadnij znienacka. Hehe.

Boruta, powiedziawszy to, zniknął wśród wycia wichru.

Ucieszył się Maćko z tej wiadomości. I następnej nocy przypasawszy miecz do boku, dosiadł konia i wyruszył drogą leśną w stronę Gostynia. Następnie zaczaił się w gęstwie kniei, czekał. I rzeczywiście wkrótce rozległy się głosy i turkot kół wozu. Maćko więc, przeczekawszy jeszcze chwilę, nagle z głośnym okrzykiem wyrwał się z gęstwiny i z dobytym

ZENON KOSIDOWSKI:

ULICA JEZUICKA

Cały rok bywa cicha, w zadumie niezmienna,
W kadzidlanych zapachów spowite obłoki,
W rozhoworze poszeptów zmierza jakby senna
Poprzez portal kościoła w zaświatów pomroki.

W święto Bożego Ciała przerywa skupienie,
Dźwiga się z kontemplacji klasztornej zadumy.
Strojna w święte obrazy, wiosenne zielenie,
Kolorowej procesji wita śpiewne tłumy,

Były ranki kwietniowe, ozdobne i świeże,
Aromatem i złotem prószące przemożnie,
Kiedym — sztubak — co roku stał tutaj w szpalerze,
Niedzielnego ubrania pilnując nabożnie.

Łopotały dywany, zdobiące balkony,
Niebo jak szafir rznięty płonęło rzęsiście;
Jakże świeże są we mnie te śpiewy i dzwony,
Co zawisły na wietrze jak wonne bza kiście.

Czas bulgotał nademną jakby strumień wody,
W pastelowych kolorach promieniał jak tęcza,
Migotliwy i wrzący, łaskawy i szczodry,
Spływał magiczną strugą w mroki mego wnętrza.

Obnosiłem chełpliwie ten cud niepojęty,
Że są rozkoszne śnienia, lądy, morza, dale,
Że syrenie są życia złociste odmęty,
Że jest żądza, co płacze i tęskni zuchwale.

Dziś po latach rozłąki, — samotna ulico,
Pełen grzechu i skruchy powracam do Ciebie,
By podzielić się z nową swoją tajemnicą:
Że opuścić Ciebie — to zapomnieć siebie.

Teraz się pamięć moja serdecznie mozoli:
—Czy z zczerniałych tych murów wspomnienia odczyta?
Z wnęki farnej fasady Ignacy z Lyoli
Barokowym odruchem swego syna wita.

O, szkarpowych pokoleń rozkoszna patyno,
Szczyty, wdziękiem załamań zdobiące firmament,
Jakże zapomnieć mogłem, że z dni które płyną,
Wiązałyście oddawna najsłodszy ornament.

Poznań.

---

mieczem rzucił się na kupców. Ciął mieczem w lewo i prawo. Jedni zwalili się z wozu, inni przerażeni uciekli. Wtedy Maćko wsiadł na wóz i popędził z powrotem do swego zamku, uwożąc zrabowane trzy skrzynie skarbów.

Odtąd Boruta zjawiał się w zamku co pewien czas z wiadomością, kiedy i gdzie przejeżdżać będą bogaci kupcy, których następnie nienasycony złota Maćko Borkowic napadał na drogach i ograbiał. Wszelkie drogi w okolicy zamku koźmińskiego stały się wkrótce postrachem dla wszystkich. Zaczęto omijać je z daleka, chociaż nikt nie wiedział, kto właściwie jest owym rabusiem, ograbiającym bogatych podróżnych.

I wtedy Maćko wystąpił wobec Boruty z nowem żądaniem:

— Panie djable — rzekł — chcę zostać wojewodą poznańskim.

— Hehe — zachichotał Boruta. — Doskonale. Zostaniesz wojewodą poznańskim.

I nie minęły trzy doby, kiedy przybiegł z Krakowa posłaniec królewski z pismem, w którem król Kazimierz Wielki zamianował go wojewodą poznańskim.

Rządy Maćka Borkowica jako wojewody poznańskiego były okrutne. Zanikła wszelka sprawiedliwość. Uciskał i gnębił ludność, nakładał najróżniejsze znaczne daniny i wyciskał z ludności ostatni grosz, byle tylko zaspokoić swoją chciwość złota.

Szły do króla skargi na niesprawiedliwość i okrucieństwo Maćka, ale Maćko pozwany przed króla, za każdym razem umiał się jakoś wykręcić.

I tak mijały lata. Gdy nagle uprzytomniał sobie Maćko, że wkrótce, bo już za miesiąc ukończy 50-ty rok życia, a wtedy djabeł zgłosi się po jego duszę. Wszakże według umowy z Borutą miał dobrowolnie skoczyć z wieży zamku. Maćkowi jednak nie pilno było rozstawać się z życiem i z nagromadzonemi skarbami, by wędrować do piekła. Postanowił więc djabła oszukać. Ale jak? I wtedy wpadł na chytry pomysł: Oto obok wysokiej wieży zamkowej kazał wybudować niziutką przybudówkę z wieżyczką jednopiętrową, z którejby skacząc, nie mógł sobie nic złego zrobić.

Kiedy zaś nastał dzień, w którym ukończył 50 rok życia, Maćko w zamku koźmińskim oczekiwał zjawienia się djabła Boruty.

I rzeczywiście o północy wśród świstu i huku zjawił się w komnacie zamkowej Boruta. Chichocąc głośno, zawołał:

— Hej, Mości Maćku Borkowicu! Przychodzę ci powinszować! Doskonale się spisałeś — hehe — zasłużyłeś sobie setnie piekiełko. Napadałeś, mordowałeś, grabiłeś, lud uciskałeś i gnębiłeś — to też cieszą się na ciebie wszyscy bracia piekielni. A więc czekam.

— Na co czekasz, mości djable?

— Na ciebie, mości Maćku. Czyżbyś zapomniał umowy i przyrzeczenia? Wszakże skoczysz dobrowolnie z wysokiej wieży zamku.

— Hola, mości djable, w umowie naszej nie było wcale mowy o wysokiej wieży. Miałem skoczyć z wieży i zeskoczę, ale z takiej wieży, którą ja sobie wybiorę. A więc proszę za mną.

I sprowadził Borutę na dziedziniec opodal wielkiej wieży — sam zaś wszedł na przybudowaną maleńką wieżyczkę jednopiętrową i zeskoczył ze śmiechem, nic złego sobie nie zrobiwszy.

Teraz dopiero Boruta spostrzegł, jak pozwolił się oszukać. Maćko dotrzymał słowa, zeskoczył z wieży, ale pozostał zdrów i cały. Nie zabił się, więc wściekł się djabeł, w złości wzbił się w powietrze na czub wieży, poczem świsnął przeraźliwie i w tejże chwili zleciała się zgraja piekielników. Piekielnicy na rozkaz Boruty uchwycili czub wieży, zerwali go i zrzucili na małą świeżo zbudowaną wieżyczkę, druzgocząc ją w kawałki. Następnie wpadli do komnaty wieżowej, w której ukryte były nagromadzone skarby Maćkowe, zabrali wszystkie i wśród okropnego wycia zniknęli razem z Borutą.

Maćko Borkowic widząc to, zamiast się opamiętać i rozpocząć życie cnotliwe na modlitwie i pokucie, rozsierdził się i jeszcze srożej jął gnębić lud poznański. Wtedy przebrała się miara cierpliwości dobrotliwego króla Kazimierza Wielkiego. Król kazał Maćka Borkowica pochwycić i wtrącić do podziemnego lochu zamku olsztyńskiego. Król skazał Maćka na śmierć głodową. Na pożywienie wpuszczano mu do ciemnego lochu dzban wody i wiązkę siana. To też po kilku dniach wśród straszliwych męczarni Maćko skończył śmiercią głodową. A kiedy umarł, powstał w powietrzu wielki szum, rozległy się piski i wycia — ludzie przebywający w pobliżu zamku olsztyńskiego, opowiadali następnie z lękiem, że widzieli, jak moc djabłów wyleciała z lochu podziemnego, unosząc ciało grzesznego Maćka Borkowica, pana Koźmina i wojewody poznańskiego.

Taką to opowieść szumią stare topole dokoła Zamku Koźmińskiego o grzesznym żywocie i śmierci, chciwego złota Maćka Borkowica.

MADONNY



Jadwiga Eichlerowa *Litografja*



Antoni Madeyski *Bronz*

JAN MROZIŃSKI:

KILKA SŁÓW
O GRUPIE ARTYSTÓW WIELKOPOLSKICH „PLASTYKA"

Kiedy w r. 1925 zawiązywało się nowe zrzeszenie artystów plastyków pod nazwą „Plastyka", istniała w Poznaniu już inna grupa plastyków „Świt", założona w r. 1922 przez Fryderyka Pautscha dyrektora ówczesnej poznańskiej szkoły zdobniczej. „Plastyka" skupiła w swych szeregach wybitnych artystów poznańskich, którzy do „Świtu" nie należeli, a także i tych, którzy z tej grupy z powodu tarć wewnętrznych wystąpili. Tak więc w tym czasie miał Poznań dwa zrzeszenia — do roku 1926, kiedy „Świt" przestał istnieć — pomiędzy któremi, zarysowała się w ustosunkowaniu do zagadnień plastycznych wybitna różnica. I tak: malarstwo jak i rzeźba u „Świtowców" wykazywały charakter zdecydowanie stylizujący, a w niektórych wypadkach nawet wyraźnie dekoracyjny. Natomiast „Plastyka" stała na gruncie tworzenia form plastycznych o ścisłej, wewnętrznie uzasadnionej strukturze. Realizację swych artystycznych zamierzeń uskuteczniała „Plastyka" przez urządzanie wystaw tak w Poznaniu, jak i we wszystkich centrach artystycznych, jak: Warszawa, Kraków, Lwów, Łódź, Bydgoszcz i Toruń. Spotykały się one z uznaniem fachowej krytyki i życzliwem przyjęciem publiczności dzieła niektórych artystów zakupiono do zbiorów państwowych i do muzeów (Warszawa, Katowice, Bydgoszcz). Również niektórzy z członków „Plastyki" brali udział w wystawach zagranicznych urządzanych przez Instytut Propagandy Sztuki wśród obcych. W roku 1929 przechodzi grupa, małe przesilenie. Opuszcza ją kilku członków założycieli, by wstąpić do nowopowstającego ogólnopolskiego zrzeszenia pod nazwą „Nowa Generacja". Ubytek ten stara się „Plastyka" uzupełnić nowemi siłami. Przyjmuje kilku artystów starszych, a przedewszystkiem dość znaczną liczbę z pokolenia młodszego, między nimi kilka dobrze zapowiadających się talentów. Obecnie ma „Plastyka" za sobą zgórą 20 wystaw, a liczy 50 członków z prezesem Henrykiem Jackowskim na czele. Jest to zatem więcej, niż połowa artystów pracujących w Poznaniu.

Ostatnio urządziła „Plastyka" wystawę „Sztuki Religijnej" w poznańskiem Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych. Wystawa wzbudziła żywe zainteresowanie, tak wśród stałych bywalców Towarzystwa, jak wśród sfer duchowieństwa, które zainteresowało się żywo sposobem współczesnego rozwiązania zagadnienia plastyki religijnej. — Po zamknięciu wystawy sztuki religijnej w Poznaniu, przeniesiono tę interesującą ekspozycję do Bydgoszczy, gdzie w czerwcu otwarto ją w salach Muzeum Miejskiego.



Romuald Bogaczyk — *Drzeworyt*







Marjan Turwid — *Olej.*



Łucja Oźminowa *Olej.*



Bronisław Bartel *Akwarela*

BRONISŁAW SZCZEBRZYC:

LEGENDA O BŁOGOSŁAWIONYM TOMASZU Z ZIELIŃCA

Późnym już wieczorem powracał bogobojny i święty pan Tomasz z Zielińca z dalekiego odpustu do domu. Żonę-jadawicę wraz z dzieciątkami puścił kolasą przed się, a sam, że się to ochfiarował za grzechy swoje i świata chadzać pieszo na odpusta i do miejsc pielgrzymkowych, — przeto podpierając się czekanikiem, drepcił piechurą po jasnym od księżycowej poświaty gościńcu.

Idąc tak idąc, ciężko rozmyślał in magna tribulatione animae będąc.

Oto na odpust do Wrześni jak rokrocznie tak i dzisiaj ściągnęło wiele luda, mrowisko prawdziwe. Również duchowieństwa nazjeżdżało się dużo, rozmaitych prałatów i kanoników nawet z okolic bardzo dalekich, to na brykach, to w kolasach, to konno, to w półkoszkach nawet — jak się dało.

Kazanie odpustowe na murawie przed kościołem wygłosił sam celeberrimus concionator, świetny złotousty kaznodzieja onych czasów ksiądz Maciej Walenty Przygocki, kanonik kaliski pleban z Wyganowa.

I nad tem to właśnie kazaniem rozmyślał a deliberował idąc w srebrnej śreżodze miesiąca, — bogobojny i święty pan Tomasz.

Dziwy nad dziwami prawił w swem miodopłynnem kazaniu odpustowy kaznodzieja.

Mówił o miłosierdziu chrześcijańskiem, jak ono jest cudną i wielką tajemnicą, która wypływa z bożej mądrości i sprawia, że w każdym nieszczęśliwym biedaku przychodzi do progu naszego domostwa sam Chrystus. Ten sam właśnie, który jest w Przenajświętszym Ołtarzu ukryty pod małemi opłatkami, — ten sam właśnie, który „przyjdzie sądzić żywych i umarłych".

Bogobojny i święty pan Tomasz młodość białą i czystą spędził

w szkołach na dworze pewnego wysokiego magnata duchownego w Poznaniu, gdzie liznął też trochę teologji i znał wcale dostatnio tajemnice wiary świętej. Wiedział, że Bóg jest w niebie, że jest w Eucharystji, że jest na każdem miejscu, — wszędzie w inny sposób, — ale, żeby był w żebrakach, których istna rzeka przepływała poprzez opłotki zieliénieckiego dwora, — o tem to jeszcze pan Tomasz tak jasno nie słyszał.

— Czy aby ten święty i uczony mąż i do tego kanonik kaliski, się zadaleko nie zagalopował w odkrywaniu tajemnic bożych? — rozmyślał pan Tomasz.

Nie żeby pan Tomasz był serca kwardego lub, jak to się działo w owych czasach, na urągowisko żebraków psami szczuć kazał. Wcale nie! Przecież żaden z całej tej wielkiej czeredy żebraków, przechodzących przez Zieliniec nie odchodził ani głodno, ani chłodno! Ba, przecież nawet pan Tomasz pokochał całem sercem tych dziadoskich powsinogów, jak braci rodzonych, i szczodre miał dla nich dłonie, gdy przychodzili do niego z bólem, a z jękami, czy z płaczem a skowytaniem wielkiem.

Pamiętał przecież słowa, jakie Chrystus powiedział do ludzi, że i każdy weźmie zapłatę swoją w niebie nawet za marny kubek wody, podany żebraczym ustom. Zresztą taki był i jest nakaz boży i prawo o miłości. Ale żyby to tak naprawdę „Chrystus i żebrak — to jedno", — to o tem jeszcze pan Tomasz nie zdążył był w swem życiu naprawdę pomyśleć.

A jednak! „Coście jednemu uczynili, z najmniejszych braci moich, — mnieście uczynili!" — brzmiało mu to verbum Dei ciągle w uszach, w duszy, w sercu i jakaś dziwna, boża wdzięczność zalała mu duszę całą, iż zrozumiał wielką tajemnicę Boga i życia, — że zrozumiał tajemnicę starą jak Ewangelja a jednak zupełnie dlań nową i świeżą, bo duszy jego na własność objawioną i przyswojoną. Cieszył się jak dziecko bożą wesołością, — że jak dziecko, nie wiem poraz który, — uwierzył!

Kiedy więc tak idąc w niebiańskiej kontemplacji pogrążony rozmyślał srodze, nagle, ze skraju ciemnego boru, który ciągnął się wzdłuż gościńca dobiegł go jęk. Najwyraźniej nadstawiając ucho, posłyszał jakieś ciężkie ludzkie westchnienie, podobne do śmiertelnego, ostatniego a rozpaczliwego rzężenia.

Przeżegnał się pan Tomasz pobożnie.

— Czy to upiór jakowyś, czy strzyga krwie ludzkiej chciwa zasadziły się na dusze wesołe gościńcem chwiejno z odpustu zdążające?...

Jęk się jednak powtórzył.

Z bijącem sercem pan Tomasz zeszedł z traktu i zagłębił się w leśnym zagaju. Niedługo szukał: oto kilkanaście kroków w głębi lasu ujrzał powalonego, brodatego chłopastarucha, któremu cieniutkiemi strużkami z przekłutego ciała sączyła się krew. Vestimentum poszarpane, oraz ziemia stratowana dokoła, na której leżały rozsypane miedziaki, świadczyły o zaciętej walce, jaka się tutaj niedawno toczyła.

Oto dziadowina odpustowy wracał z odpustu z pełną kabzą nabitych miedziaków i spostrzegła wielką ociężałość dziadowskiego mieszka złodziejaszków horda, po gościńcach się szwendająca i napadła na niego cichcem. Ponieważ dziadzisko z gorliwością lepszej sprawy broniło się kwardo i sielnie, — więc pobiwszy go do krwi swemi złodziejskiemi nożami, rzezimieszkowie pospiesznie capnęli sakwę i dali czemprędzej drapaka.

Lecz dziado żył jeszcze. Usłyszał pan Tomasz, wierny służka boży jego serce tętniące i żal mu się zrobiło człowieka. Przecież to może Chrystus sam, cierpi w tym człowieku, — pomyślał sobie.

Nie wiele myśląc, zdejmuje przeto kontusz w którym mimo swej pokory jako vir nobile natus zwykł był na odpusty chadzać, zewleka koszulę białą szlachecką, z dobrego giezła uczynioną, drze ją na szmaty i zabiera się rączo do obwiązywania ran poranionego dziada.

Uporawszy się z tem zarzuca sobie dziadusia na plecy i wychodzi z nim na jasną, srebrem miesiąca wysrebrzoną drogę. Układa go przy kamieniu przydrożnym, i czeka, aż kto z sąsiadów będzie przejeżdżał i chorego zdziebko podwiezie.

Czekał jednak szlachcic godzinę, czekał miłosiernie drugą, — a tu nikogo ni widu ni słychu! Widocznie już wszyscy z wieczora wrócili doma, bo i czasy były niespokojne i rozmaite rzezimieszki, a luterkowie a kalwiny, nie licząc drobniejszej, zbójeckiej hołoty, szerzyły zamęt na szlakach i gościńcach, że niech ten Pan Bóg broni.

Poraniony tymczasem dziaduś na nocnej rosie już zaczynał przytomnieć, i jęcząc srodze jął prosić o wodę. Kroplami więc rosy pan Tomasz zwilżył usta dziadoskie, poczem, nie widząc innej rady, — podjął staruszka z ziemi, zarzucił go sobie na grzbiet i wolniuteńko ruszył przed się w stronę zielinieckiego dworu.

Ciężko mu się szło, oj ciężko! Sam wychudzony długiemi postami, ustawiczną askezą, czuwaniami, a modleniem się gorącem, spocił się rychło, nim uszedł kilkaset kroków.— Dziaduś, jak na odpustowego dziada, był dziwnie ciężki, to też szlachcic się omal cały uginał pod swym ciężarem.

Szedł a szedł, szepcąc ino zdrowaśki w utrudzeniu wielkiem, pomimo że kosmata broda dziada żgała go i mierziła w kark jego szlachecki, pomimo że nieprzyjemny odor szedł od dziadowskich łachmanów, a i niejedne łaskotliwe insecta przechodziły z ich wnętrza pod kontusz szlachecki, a nawet nogi już ustawały w drodze i odmawiały posłuszeństwa, droga zaś sama się nigdy jeszcze tak długą i oporną nie wydawała jak właśnie dzisiaj. Jednak szlachcic nie ustawał jeno szedł a szedł...

I dopiero późno po pierwszych kurach dowlókł się pan Tomasz ze swą zdobyczą do zielinieckiego dworku. Wszystko już tu spało snem najgłębszym, a jedynie psy z cichem skomleniem przypadły do nóg swego pana merdając radośnie ogonami.

Resztką sił zaniósł rannego do alkierza, gdzie miał swe skromne, benedyktyńskie łoże, szlachetną ocienione kotarą. Tam go ułożył troskliwie, jak matka układa do snu swe dziecię kochane, napoił go wodą, pokrzepił plastrem miodu, po który pobiegł aż do spiżarni, — a sam wyszedł przed dom i padł na kolana dziękując Bogu, że mu dał możność spełnienia dobrego uczynku. Potem położył się na ławę i zasnął snem kamiennym.

Nie domyślał się biedny, że w zdradliwem serduszku podwórzowej okiennicy czai się nad nim para złością świecących oczu. To żona pana Tomasza, stara kutwa i babsko wielce podejrzliwe, od dziesięciu już laty wolą męża odsunięta od wspólnego małżeńskiego pożycie, nie mogąc zasnąć, a ustawicznie podejrzewając swego pana i władcę o niecne i niemoralne praktyki śledziła go i teraz osobiście i widziała, jak z jakimś wielce pieczołowitem ciężarem, wchodził do domu, a pobawiwszy niedługo w alkierzu,— wyszedł znużony położyć się na przyźbie.

Odziała więc lepiej sobolowem futrem swą babską goliznę, wzięła zapalone łuczywko i cichcem smyrgnęła w stronę mężowego alkierzyka. Ciekawość a złość, jażyły się w babie jak te świece.

— Co też to za tajemne skarby przyniósł do domu mój mąż i pan, ten świątobliwy głodomór, bratający się ustawicznie ino z żebraczą hołotą a nędzarzami? — pytała się sama siebie. Teraz rozumiem — puknęła się w czoło — dlaczego wzbraniał się jechać razem z nami! Biedne te dzieciska — biadoliła dalej, przechodząc właśnie przez komnatę

dziecińską, — że takiego głupiego ojca dostały!

Otwarła teraz z gorączkowym pospiechem drzwi do alkierzyka, a wsunąwszy się do wnętrza, podeszła do mężowskiego łoża nadsłuchując małą chwilę. Potem nagłym ruchem uniosła zasłonę nad łożem i oto co ujrzała w ciemnem, czerwonem świetle łuczywa: jakieś wstrętne, brzydkie, osmalone i poranione dziadzisko, istny robak a nie człowiek, — leżało w malignie, pokrwawione, potargane z wyrazem bólu i męczarni wyrytym na twarzy.

— Wody! — wyszeptały cicho spieczone gorączką wargi żebraka.

Słowo to wyrwało babskie serce ze zdumienia i postawiło babę odrazu na nogi.

— Wody? Dam ja ci wody, dziadu przeklęty, aże ci grdyka spuchnie! — wrzaśnie w czarną, nadsłuchującą nocną ciszę. — Znowu się mojemu mężulkowi zachciało jakowychś paralityków w dom znosić i w pańskich łożnicach kurować przybłędów! — rozwrzeszczy się na dobre. — Moje słodkie, czyste, białe małżeńskie łoże, w którem tyle rozkoszy stało się moim udziałem, w którym te dzieciąteczka biedne przyszły na świat, taki spotyka afront, taka calamia! Taki przybłęda, wagabund, pies bezpański więcej ma praw niż ja! — Wstawaj mi tu zaraz stary dziadu precz z łoża, bo cię sama wyciepnę!

Nie dała jednak rady, więc sługi zaczęła zwoływać głośno a wrzaskliwie.

Zlecą się wtepędy dworzany i służba folwarczna i dziewki, myśląc że ogień zagraża domowi, lub wróg napad urządza na dworzec. Nieprzyjaznemi, zestrachanemi oczyma wpatrują się w srogie, czarne oczy pani.

— Gdzie pan? — zakrzyknie.

Stłoczą się kieby te owce w przestrachu.

— Nie wiemy gdzie pan — mrukną.

— Widzielim go jak śpi na przyźbie, kiejśmy lecieli ze stajni — odpowiedziały dopiero parobki.

Rozepchnie ich tedy dziedziczka, jak ta skra skoczy na ganek a nuże szarpać a ze snu budzić świątobliwego męża.

— Gadajże ino waszmość, jakiegoś tam znów opętańca do domu przywlókł ze sobą! Człowieku, czy ty się nigdy nie ustatkujesz? Toć on wygląda jak zbrodzień jakowyś i gotów nas jeszcze wszystkich pomordować, a chałupę spalić! Czyś oszalał waszmość, takiego drabanta na swem łożu gościsz?...

A gdy zobaczyła że słowa te na mężu żadnego nie wywierają wrażenia, zacznie zawodzić głosem srogim:

— To mnie małżonkę jak tę psinę wygnał już od lat ze swego posłania, a obcego i do tego zbója na nie wpuszczał będzie! O losie zły, niedobry, o losie...

Nagle pełna energji a stanowczości zwyrtnie się ku niemu a z pięściami przyskoczy:

— Wyrzucisz mi tego powsinogę z łoża, wyrzucisz mi w tej chwili. Ani minuty dłużej czekała nie będę! W tej chwili ma iść precz, rozumiesz?

Widząc, że o spełnieniu jej rozkazów nawet nie myśli, sama puściła się znów do alkierza.

— Ja sama tego psubrata wyrzucę za łeb kudłaty! Zresztą od czego mam służbę. Paluchy bym sobie takim osmoluchem pobrudziła...

Widząc że to nie przelewki rzucił się i sam pan Tomasz za żoną, by nie pozwolić uczynić krzywdy choremu, którym się zaopiekował.

Dogania ją przy drzwiach alkierza, gdzie tłoczy się dziwnie skonfundowana i zaniepokojona służba.

— Światłość... dziwna światłość bije od pańskiego łoża — szepcą do siebie półgłosem parobasy, że słowa ich słyszy pan Tomasz.

— Gdzie?...

— Ano hań!

Istotnie, jakowaś jasna i cicha, promienna zorza obejmuje w swe ciepłe objęcia i rozświeca cały alkierzyk. Jasny słup światła zda się położył wzdłuż panatomaszowego posłania i bije poprzez kotarę. Prawdziwa woń róż, najcudowniejszych chyba na świecie róż zawisa w powietrzu.

Jak wryta staje u zasłoniętego łoża żona pana Tomasza, jak wryty w ziemię lecz z dreszczem radosnej rozkoszy, staje sam pan Tomasz. Uchylają drżącemi rękoma zasłonę i widok jakiego nie widziało żadne oko ludzkie — uderza ich oczy:

Oto na posłaniu panatomaszowym, w aureoli niezmiernej słonecznego zda się światła leży, nie dawny żebrak ranami pokryty i okaleczały, ale sam Bóg wielce promienisty i cudny, Jezus Chrystus.

Na cudownej piękności hebanowem drzewie krzyża spoczywa, wyciągnięty jak struna, w agonji konania nieśmiertelny Syn Boży. Twarz cała skrwawiona, i nogi czerwienią zbroczone, i ręce posoką splamione, i bok krwią ociekający, — wszystko to w aureoli światła promienistego spowite, w blaskach nadprzyrodzonych skąpane i gorejące, rajską wonią otoczone.

Jak cudownie piękny, purpurowo szkarłatny kwiat płomienistej róży, leżał Pan Ukrzyżowany na łożu służki swego. Ipse Christus Crucifixus.

Na ten widok, jak piorunem rażone, przypadło wszystko do ziemi. I żona-sekutnica i świątobliwy pan Tomasz i służba przerażona.

Zaczęli bić łbami o podłogę, a kajać się w skrusze wielkiej przed cudem straszliwego majestatu ukrzyżowanego Pana.

— Uczyniłem to w nagrodę dla Ciebie Tomaszu! — wyrzekł w srebrnej ciszy słodkim głosem, konający Chrystus, — dla Ciebie iżeś uwierzył. Wiedz, że to prawda, iż ja jestem w każdym żebraku, wyciągającym dłoń swą po twe miłosierdzie. Albowiem w każdym umęczonym, — Ja się męczę, w każdym poranionym, — Ja krwawię, w każdym zbroczonym, — Ja broczę, w każdym umierającym, — Ja umieram! I tak będę w najbiedniejszej tej braci mojej aż po koniec świata! Czy wierzysz teraz ukochany służko mój, wierny Tomaszu, że w każdym nędzarzu jestem Ja, — Chrystus Crucifixus?...

Podniósł swą głowę schyloną błogosławiony mąż, podniosła twarz swą pełną wstydu i łez żona jego, uniosła swe głowy służba cała.

Rozmodlone oczy pełne miłości wparły się żywą, gorejącą mocą w słodkie konające oblicze Zbawiciela i jeden wielki jęk wydarł się z tych serc miłością i żalem ściśniętych, z tych dusz politowaniem dla Chrystusa ogromnem wezbranych i jeden wielki głos popłynął w tej chwili aż pod niebios stropy:

— Chryste, o Chryste konający, żeś to Ty jest — wierzymy! Wierzymy, żeś w żebraku się nam dziś objawił i że będziesz się tak objawiał nam biednym ludziom aż do końca świata!

Gdy wymawiali te słowa, nadprzyrodzona, promieniście złota zorza nad konającym Chrystusem zaczynała blednąć i gasnąć.

Tak jak słońce przezłociste gaśnie za borami powoli i nieznacznie, tak samo gasło na łożu kwiecie bożego cudu.

Alkierz powoli zaczął napełniać się szarą poświatą wschodzących zórz dnia powszedniego. Świtało w całej pełni jutrzenką wielkopolskiego lata.

A oni wciąż jeszcze wszyscy klęczeli w bezruchu, pogrążeni w modlitewnem zachwyceniu, zatopieni w ekstazie widzenia, zasłuchani w niebiańskie szumy nadprzyrodzone.

Wciąż jeszcze klęczeli, pomimo że na łożu pana Tomasza już dawno nie było Chrystusa, a tylko promienie słoneczne rzucały już pierwsze swe snopy na bladą, trupią twarz zmarłego, odpustowego dziada...

LEONARD TURKOWSKI:

WIECZÓR W MIASTECZKU

Miasteczka życie bezludne
określę słowem: nic.
Wieczór jest taki nudny,
jak odpiekany wic.

Na 115 skobli
zamknęła się cała brać.
Co tu z nudów robić?
Trza się położyć spać.

A zresztą cóż mi trzeba?
Wieczór jest długi, jak rów:
aniołom świętym z nieba
ukradnę spokój znów.

Położę się do łóżka,
jak zniewieściały paź.
Może mi puch poduszki
opowie złotą baśń...

Może w tą ciemność nocną
sen włoży jakiś mit —
jakąś legendę, wzniosłą,
jak wieży kościelnej szczyt...

Cisza, namiętnie, z mocą,
potulny ściska cień.
Na niebie strzela, jak z procy,
stek bladych, nieśmiałych lśnień.

Księżyc się mlekiem zabarwił
w puszystej, lekkiej mgle.
Z jedyną w mieście latarnią
niegrzecznie kłóci się.

Aż domy oburzone
tą kłótnią gorszą się.
Wzburzone i zgorszone
wmig gaszą oczy swe.

A może kościół (o, Boże!
toż to nie wielka rzecz)
obalił się ze zgrozy,
jak cztery wieki wstecz...

A może (jak niedawno)
z więzienia murów złych
zbiegnie bandyta sławny,
aby pogodzić ich...

A może w takiej chwili,
gdy w mieście szerzy się złość,
wyjdzie z swej nowej willi
pan burmistrz — jego mość...

A może... Głupstwa marne!
Napewno już poszedł spać
naczelnik straży pożarnej
ze swojem wiecznem: psiamać!

Poziewa ściana troszeczkę
i sufit kiwa się...
Gdzie jestem? aha! w miasteczku.
Co robię? aha! śpię.

ALFRED JESIONOWSKI:

PRZYCZYNKI DO KULTURY WIELKOPOLSKI

(O DZIAŁALNOŚCI KULTURALNEJ I LITERACKIEJ STEFANA PAPÉE'GO)

I. PUNKT WYJŚCIA.

„...zająłem się żywo współczesnymi Wielkopolanami i z entuzjazmem mówiłem w „Kwiatach na ugorze“ o nie dość znanym Bernardzie Chrzanowskim, Jerzym Hulewiczu, czy Romanie Wilkanowiczu. Garść szczegółów dorzucając do sławy Kasprowicza i Przybyszewskiego, i walcząc jak umiałem najlepiej o stworzenie w Poznaniu środowiska, sprzyjającego rozwojowi talentów i o renesans przodującej roli Poznania w rozwoju kultury polskiej.“[1])

Stefan Papeé miał pełne prawo do tych słów o sobie, a bynajmniej nie powiedział wszystkiego co o sobie śmiało i bez zarozumiałości powiedzieć był mógł. W czasie, kiedy życie znalazł Wielkopolanin, któryby się był pokusił o rolę inicjatora w życiu kulturalnem stolicy Wielkopolski — rolę tę spełniał na wielu odcinkach poznańskiego życia artystycznego i literackiego „przybysz“, człowiek o dużej kulturze, szczerym entuzjaźmie, pełen najlepszej woli przysłużenia się ziemi, na której los mu wyznaczył pole pracy. Dodajmy, że grunt do działalności szczególnie artystyczno-literackiej istotnie bardzo był ugorny, tak ugorny, że ożywieni najlepszemi zamiarami założyciele „Zdroju“, którym przypada zaszczyt pierwszych pionierów na tym gruncie w Wielkopolsce odrodzonej — zniechęceni obojętnością, chłodem i nie zrozumieniem społeczeństwa — ręce opuścili. Stefan Papée, który miał możność obserwować pracę i wysiłki Hulewiczów szybko zrozumiał, że „zdrojowcy“ sięgnęli zbyt wysoko, mieli zamiary i ideały zbyt daleko idące jak na czas, na który ich działalność przypadła. Trudno winić społeczeństwo poznańskie o niekulturalność. Obojętność na te właśnie sprawy wypływała z zupełnie naturalnych przyczyn. Był to przecież okres gorączkowej organizacji nowego polskiego życia społecznego, okres montowania polskiej administracji, orjentowania się w nowo wytworzonych warunkach. Był to czas wojny z przeszłością — a inter arma silent musae. Z tych też przyczyn rozczarował się gorzko do Poznania Przybyszewski. Hulewicze, jakkolwiek Wielkopolanie, nie liczyli się z psychiką przeciętnego Wielkopolanina, zajętego obroną przed wynarodowieniem na odcinku najbardziej zagrożonym: ekonomicznym. Nie znaczy to oczywiście, jakoby Wielkopolanie zatracili poczucie potrzeb kulturalnych, nie tylko mieli je, ale na polu kulturalnem dokonali dużo, tyle, że te potrzeby wypływały z konieczności dnia. Na „sztukę dla sztuki“ Wielkopolan w tym czasie istotnie stać niebyło.

Z czego sobie więc nie zdawali sprawę wielkopolanie czynni na polu kulturalnem — zrozumiał obserwator z poza Wielkopolski. Organizację nowego życia artystyczno-literackiego w Wielkopolsce, Poznaniu rozpocząć należało od podstaw, powoli. Ponieważ się sypały gromy na „niekulturalny“ Poznań — należało wpierw stwierdzić — że ten zarzut jest gołosłowny, kiedy posiadali i posiadają ludzi wybitnie zasłużonych na gruncie twórczości naukowej,

[1]) Z wstępu do „Wielkopolski wczoraj i dziś“ Papéego.

FLORJAN JERNAS:

BALLADA O KSIĄŻKACH I LUNATYKU

Raz,
Gdy księżyc usiadł na chmurze,
A w bramach posnęli stróże —
Gdy anioł w księgarni
Wybijał północ
Na klawiaturze,
Zbudziły się książki!...

Powstały z półek
I zebrały się przy kasie
Na wiec!...

Biadały książki na wiecu:
Pegazowe mamy kopyta,
A nikt nas nie kupuje
I nikt nas nie czyta!

Biadały,
Szemrały,
Wiecowały
I czarnemi głoskami
Rzęsiście płakały...

Przyszedł niebieski policjant
W srebrnej pelerynie —
I stanął w witrynie —
I zapalił sto świec,
By rozpędzić wiec...

Błagały książki księżyca,
Jak konający księdza:
Przyprowadź do nas człowieka,
A wiecu nie rozpędzaj!...

Przyprowadź do nas człowieka
Zbliska
Lub też zdaleka...
Niech nas czyta
I do piersi przyciska!...

Księżyc na zgodę
Przymrużył oczy,
Podpełzał ku wyjściu
I oknem wyskoczył...

Błądził po śpiącem mieście,
Po oszronionych dachach —
I spotkał lunatyka,
Który na śliskim gzymsie
Uprawiał gimnastykę. — — —

I przyprowadził go do księgarni.

Spojrzał lunatyk na książki
Szklanemi oczami —
A książki trzasnęły
Okładkami...

Kartkami
Przewracały,
Szeleściały,
Szemrały —
I się wzajemnie
Przechwalały:

Ja bawię i uczę,
Na moich stronnicach
Leżą klucze
Wiedzy! —

Mnie stworzył poeta —
Mnie powieściopisarz —
Mnie nowelista —
A mnie esteta!

Nademną ślęczał dnie i noce
Uczony docent —
A mnie napisał publicysta
I znakomity
Polityk! —
A mnie napisało trzech autorów:
Jedna pani
I dwóch doktorów! —

A ja, proszę pana,
Przypadkiem i trafem
Na półkach jeszcze leżę —
Jestem numerowana,
I z autografem,
I mnie odbito
Na ręcznie czerpanym papierze
Ja ze wszystkich wyglądam
najmilej
Jestem tylko dla bibliofili —

I wszystkie książki
Swoje zalety
Jak bukiety
Ciskały mu do nóg...

Lunatyk zdębiał
I ręce opuścił bezradnie —
Tyle tu godnych książek,
Którą mi czytać wypadnie!? —

Chodził śród książek
Lunatyk czuły —
Głaskał okładki
I czytał tytuły...

A gdy wszystkie pocieszył,
Stanął — i skłoniwszy głowę,
Taką wygłosił przemowę:

Kochane Siostry!
Jeno mnie słońce
ze snu zbudzi,
To przyprowadzę do was
ludzi,
Którzy . . . .

I niedokończył,
Bo w tem brzęknęły klucze
Zbudzonych stróży...

Księżyc mu podał
Rękę ze srebrnej blachy —
I wyprowadził
Go na dachy!

A książki
Okładkami trzasnęły,
Westchnęły,
Łyknęły
Nasenne pigułki —
I rzędami,
Szeregami
Pokłady się na półki...

Ale nadejdzie
ta godzina święta,
Że książki zbudzi ręka
ekspedjenta!..•

---

literackiej i artystycznej. Należało uprzytomnić społeczeństwu wielkopolskiemu, że wielu z tych ludzi pragnie służyć swym ziomkom, dla nich pracować, że tych więc trzeba przygarnąć a nie odtrącać, wytworzyć dla nich atmosferę sprzyjającą działalności w tej dziedzinie, dotąd niewątpliwie przez ogół zaniedbanej lub lekceważonej wzgl. niedocenionej.

Takie prawdopodobnie musiały być założenia Stefana Papéego, który zorjentowawszy się w stosunkach poznańskich, zaczął brać udział w życiu kulturalnem Poznania całą pełnią swego bujnego temperamentu, z całem oddaniem się sprawie, w którą wierzył, której służyć pragnął.

Przyjrzyjmy się dziełu — jakiego dotąd dokonał Papée w tym zakresie.

II. Z ŻYCIA ARTYSTYCZNEGO POZNANIA.

Działalność Stefana Papéego nie ograniczała się do jednego odcinka. W miarę jak poznawał Poznań, Wielkopolan i Wielkopolskę, rozbudziła się w nim serdeczna miłość do ludzi i ziemi, na której przypadło mu żyć i działać. Brał więc intensywny udział w życiu artystycznem Poznania i wraz z innymi przyczyniał do do podniesienia znaczenia Poznania w życiu duchowem Polski. Korzystał pod tym względem z każdej ważniejszej sposobności jaka się nadarzyła. Kiedy Poznań postanowił uczcić 35-cio lecie działalności artystycznej Stanisławy Wysockiej — Stef. Papée, gorący wielbiciel i świetny znawca teatru, podejmuje się napisania księgi ku czci znakomitej aktorki. Jakkolwiek był to czyn indywidualny — niemniej stanowił on część hołdu ogólnego Poznania. Praca Papéego pojawiła się u Kuglina[2]). Znajdziemy w niej bliższe uzasadnienie, dlaczego właśnie Poznań uczcił jubileusz wielkiej artystki. W Poznaniu (1900 r.) zaczął się na dobre rozwijać wielki talent Stanisławy Wysockiej, stąd rozpoczęła swą wędrówkę idąc wpierw na 10 lat do Krakowa, następnie występuje w Warszawie, Lwowie, Kijowie. Wróciwszy po wojnie do Polski występuje kilkakrotnie w Poznaniu gościnnie, by od roku 1927 przyjąć stałe angagement. — Skreśliwszy więc nasamprzód przebieg karjery artystycznej Wysockiej, omawia autor następnie wybitne kreacje Wysockiej-aktorki by zakończyć analizę jej działalności reżyserskiej. Praca o Wysockiej napisana jest nietylko z doskonałem znawstwem teatru i literatury dramatycznej, podkreśla nietylko znaczenie Wysockiej jako „człowieka teatru", ale dąży do wydobycia z pracy wielkiej aktorki wszystkich pierwiastków twórczych, oryginalnych. W ten sposób dał Papée nietylko kawałek historji teatru polskiego ale monografję artysty. Tak stała się ta z pietyzmem i Kuglinowi właściwą starannością wydana praca pięknym hołdem złożonym przez Poznań za pośrednictwem Papéego - autora i Kuglina-typografa — Stanisławie Wysockiej — a równocześnie dokumentem, że Poznań nie zapomina o tych, którym zawdzięcza wzruszenia serdeczne, momenty podniosłe. Uczucia Poznania znalazły w Papéem serdecznego interpretatora.

Nim przejdę do omówienia książek pamiątkowych ku czci Przybyszewskiego i Wyczółkowskiego redagowanych przez Stefana Papéego — muszę wtrącić uwagę w nawiasie. O tych książkach wypada mi obszerniej pisać po raz drugi — ale niechciałbym, by mnie po raz drugi źle zrozumiano. Pisałem o nich w ABC. — dodatku literacko - artystycznym z dn. 18. III. 34 r. omawiając działalność artystyczną Jana Kuglina. Podciągnąłem mianowicie fakt wydania owych ksiąg pamiątkowych pod kategorję: *Poznań* wielkim artystom! Jest to oczywiście o tyle tylko słuszne — że Poznań stał się środowiskiem zarówno zainteresowania się temi artystami jak i miejscem wydania owych ksiąg, jak wreszcie

[2]) Stefan Papée: Stanisława Wysocka. Nakł. J. Kuglina. Poznań 1930. Str. 55.

było współpracowników kilku, bodaj kilkunastu — tak, że w konkluzji można by uważać książki te nie tylko jako hołdy indywidualne — ale właśnie zbiorowy hołd Poznania kulturalnego. — Tłomaczyłem to później osobiście Kuglinowi — i przyznał mi wkońcu rację z restrykcją, o której właśnie co mówię. W podobnym więc sensie uważam działalność Papéego nie tylko jako czyn indywidualny, ale podyktowany chęcią wsławienia także Poznania.

(C. d. n.)

MARJAN TURWID:

SOSNY

Było to — — dawno...
...nad mogiłą lat
mchem zapomnienia gęsto porósł
kiedy mój dziad [głaz...
w rzeźki poranek nieznanej mi wiosny
wyruszył w las
by — — rąbać — — sosny.

— — — — — — — — —

...stoją nie wiedząc nic o tem — —
gromada wyniosła i dumna —
na pozłocistych kolumnach
nieba dźwigając strop złoty.
Pod złoto-modrym ciężarem
złoto-zielone głowice
gną się, aż trzeszczą konary,
aż tętnią w słojach żywice...
Przez gęstych koron igliwie
zorza kroplami przecieka
i syci szczodrze, życzliwie
siwe źrenice człowieka.
Siwe źrenice człowieka
nie widzą nic chociaż patrzą — —
a uszy słuchając nie słyszą,
jak mchy deptane płaczą,
jak sosny, złote sosny
dyszą...

— — — — — — — — —

Pamiętam, — wówczas nad ranem,
nad ranem nieznanych mi wiosen
na złotych fletach sosen
zagrały lasu organy.

— — — — — — — — —

Grały, a dziad mój był głuchy,
jak pień-kaleka w lesie, —
a dziad mój głuchy i ślepy
co mu tam leśne szmery,
co mu tam zorzy przepych — —
twardym a mocnym ruchem
dłoń na organy podniesie,
by wyrżnąć ostrzem siekiery.

— — — — — — — — —

Wstrzymaj cios człecze szalony.

— — — — — — — — —

...stanęły w płomieniach korony...
...wdarły się w niebo konary...

— — — — — — — — —

Nie ujdziesz, nie ujdziesz kary.

— — — — — — — — —

Lecz dziad ni słucha, ni patrzy — —
topór mu dłonie pali,
skronie zalane potem,
nogi wparł w ziemię, — rozkraczył,
— nie przerwie, nie przerwie roboty,
aż wszystkich sosen nie zwali.

— — — — — — — — —

Aż, — gdy niebiosa złote
krwawym wieczoru pożarem
dzień spopieliły znojny, —
sosny leżały pokotem
i dziad mój leżał spokojny
pod sosny największej ciężarem.
Zwaliła się nań jak zmora.
Gruchnęła o ziemię koroną.
Tak się dziad z sosną uporał,
aż go zamknęła w ramionach

— — — — — — — — —

Mocny to uścisk, a twardy
w krzywych konarów splotach...
Już się nie dźwignie dziad hardy,
skończona jego robota...

— — — — — — — — —

A moja dopiero wszczęta,
wiem, mozół to ponad miary,
bo sosna stanęła dźwignięta
nad piachem myśli szarych.
Nad wielkiem, nad równem polem
sklepienie chmur się zawali,
jeśli nie wzniesiem nad dolą
lasu sosnowych pali.
Gdy miast gwiaździstej tęsknoty
oczom pełznącym przez piachy,
wystarczy rozchodnik złoty
i macierzanki zapachy.
Gdy monotonne godziny
nie dławią już, lecz kołyszą...
a okrzyk buntu, — — — równiny
nie echem spłacą, lecz — — ciszą.

— — — — — — — — —

Dole, niedole, kłopoty
na równą na ciasną miarę,
wloką się tam i z powrotem
marzenia moje szare.
Pokój ma cztery ściany,
nie cztery świata strony.
Czas mierzy zegar zaspany,
a nie spiżowe dzwony.
Wszystko się równo układa.
jak skiby roli za broną.
Gdzieś słońce wstaje, gdzieś spada,
tu lampki gasną i płoną.
Tu płoną małe tęsknoty,
tu małe tęsknoty gasną. —
Dole — niedole — kłopoty —
zamknięte w trumienkę ciasną.

— — — — — — — — —

Na karawanie niewiary
nim trumnę zwiozą na cmentarz,
bracie znudzony i szary
powiedz, czy nic nie pamiętacz?...

— — — — — — — — —

O niczem nie śnisz — nie roisz — —
czarnemi cyfry znaczony
kalendarz wszystkich dni twoich,
kalendarz bez cyfr czerwonych.
Wydarte dni purpurowe
zgaszone tygodnie słońca
i czarnem — jak cyfra — słowem
skreślone barwy miesiąca
I nie są: kwietnie — kwitnące
i czerwce — czerwone upałem
niedziele — zielone na łące
niedziele na śniegach — białe.
I nie usłyszysz — nad ranem
nad ranem poznanych wiosen
aby na fletach sosen
śpiewały lasy organy.
To było — tak dawno — wczoraj...
Aż dziad legł z siekierą w ręce — —
I słońce jak zgasło z wieczora,
tak już nie wzeszło więcej.

— — — — — — — — —

Śmiertelna to jest przewina
zgruchotać niebios filary.
— Szarym śpi snem Dolina
pod chmur namiotem szarym.
Zwisną trosk ciężkie obłoki
groźba się czarną strop zchmurzy
zetrą się twardo chmur tłoki
pomrukiem idącej burzy.
Już się skotłuje, już skłębi
już górą o górę zdzieli
i w śpiącą Dolinę w głębi
jasnym piorunem strzeli.
Zapali sosnę zwaloną,
aż żywym ogniem zapała.
W godzinę pragnień czerwoną
sosna — płomieniem — wstała.
Nieci w Dolinie blask złoty
i ogień najświętszej wiosny —
— płonąca pochodnia tęsknoty
— stężały płomień sosny.

JACEK ORCZYK:

WIERSZ DESZCZOWY

— Zachichotał —
— zatrzepotał —
i zerwał się z chmur
spleciony w sznur.

Spleciony w sznur,
do ziemi przypadł.
— przeskoczył mur,
rzucił się w sad,

— — — — — — — — — — — — — —

— zachichotał —
zatrzepotał —
— — — — — —

Podbiegł do drzew,
(dziewiczych drzew)
słodycz skradł,
zalubczył sad.

— — — — — —

— Zachichotał —
— zatrzepotał —

i do lasu zbiegł

— — — — — — — — — — — — — —

Rad nierad,
na bajorku siadł.

— — — — — —

— zdyszany —
— zszargany —

— — — — — — — — — — — — — —

Ostatkiem sił,
słońc tysiąc pił —
tysiącem słońc,
wysrebrzył toń
i na dno padł.

Poznań.

TEODOR TAŁUNA:

WIECZOREM NA ŁĄCE

Rozdygotana ziemia, jak serce człowieka —
południowej spiekoty polana odwarem,
nabrzmiała krzykiem słońca — osnuta oparem —
tchnie wieczorną tęsknotą, płynącą zdaleka...

Mgły purpurowych cieni kołyszą się jachtem
drą łąki krwawym dziobem,
zmierzchów gną się masztem, —
Pomięty obłok rosy snem stulony w zbożu
żagiel wichrem podarty, w traw się układzie morzu. —

— Wypłynął jacht i stężał we mgle czytanej bajki
Pociągnął w trawie dymem, zakotwiczonej fajki
ku nieznanem wybrzeżom, gdzie łąki wykroty
podawają przód żeber zeschłych, pod łaskoty
boleśnie słonej fali, która krwią wytryśnie, —
zagra bańką tęczową — i na gwiazdach zwiśnie. —

Płynie traw sinem morzem. Ładunkiem tęsknota. —
Mgłą przeżarła ją fala, południa spiekota —
o skały się roztrzaska — piętrzących się mroków —
Zwały mazistych cieni przywarły do boków...
jacht pchają w czeluść nocy — przebrzmiewa S. O. S.
Zwarły się czarne fale — noc wyznaczyła kres.

TADEUSZ PIETRYKOWSKI:

ZAPOMNIANE DZIEŁO FRANCUSKIE

O STREJKU SZKOLNYM DZIECI WIELKOPOLSKICH z r. 1906/07

Za dwa lata obchodzić będziemy 30-lecie strajku dziatwy polskiej w szkołach pruskich, który swego czasu poruszył cały świat cywilizowany, a który dla nas Polaków ziem zachodnich był jednym z najważniejszych etapów we walce o wolność i niepodległość naszego narodu. Mała mieścina Września, do roku 1906 w świecie nieznana, której dzieci po bohatersku znosiły plagi wymierzane im w sposób bestjalski przez nauczycieli-germanizatorów, stała się jakoby symbolem potężnego przebudzenia duchowego najszerszych warstw społeczeństwa polskiego, — była zapowiedzią późniejszej rozprawy orężnej z ciemięzcą i okupantem.

To samo pokolenie dziatwy szkolnej, które w roku 1906/07 stoczyło bezkrwawą walkę z systemem germanizacyjnym, w roku 1918/19 nie wahało się też chwycić za oręż, by rozprawić się krwawo z odwiecznym wrogiem narodu polskiego.

Strajk szkolny z r. 1906/07 miał na celu protest przeciwko gwałtom pruskim, a choć nie zakończył się wygraną naszą, to jednak przygotował wspaniałe zwycięstwo tak ducha jak i oręża polskiego w Powstaniu Wielkopolskiem, którego ostatecznym rezultatem było oswobodzenie z niewoli naszej ziemi ojczystej.

Dla uczczenia 25 rocznicy strajku szkolnego dzieci polskich wydał w r. 1930 dr. Mieczysław Jabczyński, okręgowy wizytator szkół z Poznania, obszerne dzieło p. t.: „Walka dziatwy polskiej z pruską szkołą" (Poznań 1930. Nakł. Wydawnictw Szkolnych, str. 335), które opracowane zostało na podstawie materjałów źródłowych przy uwzględnieniu zachowanych akt szkolnych oraz istniejącej literatury przedmiotu.

We wstępie do swej pracy a utor stwierdził, że dotychczasowa literatura przedmiotu jest uboga i że dotąd nikt nie zdobył się na ujęcie dziejów polskiego strajku szkolnego w Prusach w pewną syntetyczną całość. Stwierdzić trzeba, że dzieło p. Jabczyńskiego jest dotąd najpoważniejszem i najwięcej źródłowem opracowaniem dziejów strajku szkolnego z roku 1906. Autor bowiem uwzględnił tak materjały urzędowe jak i ówczesną prasę polską i niemiecką, dalej znane mu publikacje polskie, niemieckie i francuskie.

Nie od rzeczy będzie przypomnieć na tym miejscu istniejące w tym przedmiocie poważne dzieło francuskie, którego autor „Walki dziatwy polskiej z pruską szkołą" nie cytuje, a które u nas prawie że nie znane, udało mi się odnaleść w jednym z antykwarjatów francuskich. Jest to dzieło dr. Wiktora Nicaise, laureata de la Faculté de Médecine et de l'academie des Sciences, p. t.: „Allemands et Polonais" z podtytułem „La lutte pour la langue en Pologne. La grève scolaire en

Posnanie (Pologne Prusienne) 1906 —1907"[1]). Przedmowę napisał M. Welschinger członek Instytutu.

Powyższa praca francuska, która traktuje sprawę strajku szkolnego dzieci polskich w Poznańskiem (1906/07) w sposób bardzo poważny i wyczerpujący, jest doskonałym przeglądem walki polskiej o język polski w szkołach pruskich. Omówiwszy stosunki szkolne w Poznańskiem przed i po roku 1871, autor opisuje bardzo szczegółowo sprawę wrzesińską, omawia cały przebieg strajku szkolnego, cytując nawet głosy polskiej prasy prowincjonalnej, dalej głosy prasy francuskiej, belgijskiej i niemieckiej.

Autor francuski, którego skrupulatne oraz pełne sympatji dla sprawy polskiej opracowanie dziejów strajku szkolnego z lat 1906/07 zasługuje na pełne uznanie z naszej strony, potraktował ten dla polskich ziem zachodnich tak ważny epizod historyczny jaknajszerzej, dzieląc całość na 7 wielkich rozdziałów, których już same tytuły pozwalają nam zorjentować się w zasięgu jego pracy. Oto tytuły rozdziałów:

I. Historique des mesures qui, dans les écoles et les etablissements d'instruction secondaire de la Pologne prussienne, aboutirent à la supression du polonais comme langue enscignante, — et même à la suppression de l'enseignement du polonais.
II. L'affaire de Września.
III. Retentissement et conséquences immédiates de l'affaire de Września.
IV. La grève de 1906—1907. Généralités. Enfants mis aux arrêts. Enfants victimes de sévices corporels.
V. La grève de 1906—1907 (suite effin) — Des méthodes disciplinaires en usage dans les écoles et les gymnases allemands. Enfants Polonais tombés en syncope au cours de corrections corporelles. Enfants Polonais morts des suites de coups. Enfants internés dans des maisons de correction. Collégiens renvoyés. Persécution religiense. Incidents d'ordres divers concernant la grève.
VI. Considérations d'ordre général. — Comme quoi les civilisations ne sont point séparées les unes des autres par des cloisons étanches, mais au contraire sont interdépendantes — Du régionalisme considéré comme élement civilisateur et comme principe de paix.
VII. Le point de vue moral de la grève scolaire.

Omawiając znaczenie moralne strajku dla Polski autor stwierdza, że „ces enfants out dignement défendu les traditions morales de l'antique Pologne".

Czytając dzieło Nicaise'a, napisane z werwą iście francuską i niekłamaną sympatją dla dziatwy polskiej, katowanej przez pruskich pedagogów, podziwiać trzeba jego wielką erudycję i doskonałe przygotowanie materjału (cytuje nawet nazwiska dzieci i ojców, wymienia miasta i wioski wielkopolskie itd.). Czytelnik polski odczuwa dla autora głęboką wdzięczność za to, że w czasie (r. 1911!), gdzie o Polsce zagranicą mało kto wiedział i pisał, obrał sobie jako temat pracy przedmiot tak dla cudzoziemca odległy a dla nas Polaków tak ważny i zasadniczy.

Dzieło francuskiego autora, który przez swą doskonałą pracę o strajku szkolnym z r. 1906 wykazał zupełne zrozumienie dla naszego położenia politycznego pod panowaniem pruskiem, zasługuje na przypomnienie wobec zbliżającej się 30. rocznicy walki dziatwy polskiej ze szkołą pruską.

[1] Paris 1911. Bibliothèque des Marches de l'Ést, str. 240.

LISTY Z REGJONÓW

Z historji T. C. L. w Ostrowie

W roku bieżącym obchodzi trzydziestolecie swej działalności jedno z najbardziej zasłużonych w Ostrowie stowarzyszeń oświatowo-kulturalnych T. C. L. Ono to głównie ratowało polskość w naszem mieście w ostatniem dziesięcioleciu przed wojną światową i w czasie niej. Przedstawiony niżej zarys jego historji został oparty na materjale archiwalnym, udostępnionym mi przez obecnego prezesa, p. rad. Rowińskiego, za co, jak i za cenne uwagi i uzupełnienia, zechce przyjąć serdeczne podziękowanie.

* * *

Dnia 7. listopada 1904 r. z inicjatywy wydawcy „Gazety Ostrowskiej", p. Stef. Rowińskiego, zawiązał się w Ostrowie Komitet Odczytów Ludowych im. Adama Mickiewicza, w skład którego obok projektodawcy weszli jeszcze pp.: śp. Roman Hulewicz, śp. bud. Pawlicki, śp. mec. Lange (— Wnukowski) i Roman Krobski, obecnie wiceprezydent miasta Grudziądza.

Robota potoczyła się od razu wartko i już 16. t. m. zostały wygłoszone pierwsze odczyty. Jak tego rodzaju inicjatywa była na czasie, świadczy o tem gorące przyjęcie z jakiem od pierwszej chwili spotkały się odczyty ze strony ludności polskiej. Zato innego rodzaju przeszkody musiał Komitet przezwyciężać. Ówczesny dziekan ostrowski, ks. Śmigielski, ze względów personalnych odmówił mu sali w Domu Katolickim; odczyty więc z konieczności odbywały się na salce p. Hofmańskiej przy ul. Wrocławskiej. Tu jednak otoczyła je czułą opieką policja pruska, dla której powodzenie odczytów musiało oczywiście być solą w oku. Już 13. grudnia, rzekomo ze względów na bezpieczeństwo publiczne, ograniczyła liczbę słuchaczy do 290 grożąc w razie nieprzestrzegania nakazu całkowitem zawieszeniem wykładów.

W pierwszej kadencji, t. zn. od połowy listopada 1904 r. do połowy kwietnia roku następnego, Komitet zorganizował 9 posiedzeń publicznych, na których 14 prelegentów wygłosiło 16 odczytów z najrozmaitszych dziedzin. Odtąd rokrocznie, w tym samym mniejwięcej czasie, odbywają się odczyty.

Nareszcie w kwietniu 1906 r. można było je przenieść do Domu Katolickiego. Z tą chwilą Komitet mógł rozszerzyć swą działalność, tak bardzo pożyteczną, — mimo, że nadal nie spuszczała z niej oka policja pruska. Z jednej strony nawiązano łączność z T. C. L. w Poznaniu, z drugiej zaś dotychczasowy Komitet Odczytów Ludowych, w charakterze podkomitetu T. C. L. na Ostrów i powiat ostrowski, wyruszył na wieś. W tym czasie do Komitetu należeli obok wspomnianych już pp. Rowińskiego, na którego barkach głównie spoczywała cała praca organizacyjna, i Krobskiego, śp. ks. Ark. Lisiecki, późniejszy biskup śląski, ks. Grzęda, ks. Kowalczyk, mec. Begale, dzisiejszy starosta krajowy w Poznaniu, śp. And. Niegolewski, śp. dr. Taczak, Jan Nader i Kaz. Świetlik.

W zimie r. 1906/7 powstaje Bibljoteka Zjednoczonych Towarzystw, przy której otwarto zarazem czytelnię, która w krótkim czasie doskonale się rozwinęła, oraz muzeum; pierwszym bibljotekarzem był p. Leon Sokołowski. — Ponadto Komitet bierze bardzo żywy udział w ogólnym ruchu organizacyjnym TCL. Wogóle w tym okresie działalność Komitetu jest nadzwyczaj ożywiona. Zaznaczyła się ona również w rozpowszechnieniu na obszarze powiatu ostrowskiego bezpłatnych bibljotek, zawierających po 100 względnie 150 książek; z początkiem 1909 r. było ich już 42.

Tej niezwykle pożytecznej pracy położyła koniec dopiero wojna światowa. Po wojnie wprawdzie została ona wznowiona, ale wskutek fałszywego mniemania, jakoby z chwilą odzyskania niepodległości TCL. utraciło swą rację bytu, działalność ta wyglądała raczej na wegetację aż wkońcu ograniczyła się jedynie do wypożyczania książek. Niestety i tutaj spotkały TCL. dotkliwe ciosy we formie wycofania przez miejscowe stowarzyszenia z wyjątkiem Towarzystwa Przemysłow, złożonych niegdyś w depozycie książek, i zakładania własnych bibljotek. Temsamem zaprzepaszczono na dłuższy czas przynajmniej — miejmy nadzieję — stworzenie w Ostrowie większej bibljoteki publicznej, której brak daje się tak ogromnie we znaki. Wprawdzie bibljotekę TCL. udało się uratować z tego pogromu ówczesnemu bibljotekarzowi, p. Rowińskiemu, a nawet doprowadzić ją obecnie do 4266 tomów ale wspólny wysiłek całego miejscowego społeczeństwa tembardziej byłby ją powiększył.

Szerszą działalność Komitet wszczął dopiero w drugiej połowie 1928 r. Protokół z zebrania, odbytego w październiku tegoż roku stwierdził, że bibljotek w powiecie z owych 42 w 1909 r było już tylko 7. — Dopiero jednak z chwilą, gdy na czele centrali TCL. w Poznaniu stanął ks. dr. Milek, entuzjasta i niezmordowany propagator idei, jakim służy Towarzystwo, stanęliśmy u progu nowego, da Bóg, świetnego jego rozwoju. Miejmy nadzieję, że i w Ostrowie ruszy się na nowo praca, otworzą się czytelnie i muzeum, rozpoczną się odczyty, a nawet, że miejscowe TCL. przyłoży ręki do stworzenia w Ostrowie naukowego ogniska na południową Wielkopolskę.

Ostrów Wlkp.

Marjan Magdański.

RECENZJE

pod redakcją Alfonsa Szyperskiego

Zofja Kasprzycka-Strauchowa:

Czasy szkolne Ryszarda Berwińskiego

(W „Ziemi Leszczyńskiej" r. II, zeszyt 4, redaktor S. Machnikowski).

Autorka od dłuższego czasu zbiera materjały do pełnej monografji o najwybitniejszym romantyku wielkopolskim, monografji w dawniejszym stylu. Różne Berwinsciana ogłasza w Kronice m. Poznania, a tu dała nam fragment młodości tego poety. P. Strauchowa podchodzi do człowieka-twórcy, metodą, która dziś najmniej

pepłaca, metodą drobiazgowych badań technicznej strony życia, tracąc czasem myśl przewodnią, co zresztą całej tej szkole „genezyjskiej" groziło. Ponieważ jednak badania tego typu nad twórcami wielkopolskimi były rzadkie, środowisko mniej znane i z pietyzmu regionalnego czytamy wysiłki autorki z zainteresowaniem. Dodać wszakże trzeba, że to, co autorka zdołała zebrać, jest opracowane starannie i wnikliwie. Pracowitość p. Strauchowej i przejęcie się tematem widać z każdej kartki. W niektórych wypadkach uzupełnia ona albo prostuje wywody dr. Terleckiego, który również, jak wiadomo, tego poetę-pesymistę ma na warsztacie.

Autorka dobrze służy regjonowi, aby cała monografja ukazała się jaknajwcześniej.

A. S.

P. S. Ortografję trzeba koniecznie poddać rewizji. Redaktor winien na to baczyć, sam przecież w tym samym zeszycie stosuje pisownię inną!

Stefan Wojcieszak:

Tursko

wiejska Częstochowa Wielkopolski. Krotoszyn 1934. Str. 52.

Książka na odpust, jednak zgrabnie napisana. Nie gardzi anegdotą ani podaniem, wplata trochę historji, trochę kroniki kościelnej, ale ułożona przejrzyście i starannie. Sentyment osobisty autora przesadził to i owo, lecz wywołał przez to nastrój kiermaszowy... o jaki chodziło. Następne prace naukowe, które młody badacz zapowiada, muszą być oczywiście krytyczniejsze. Życzymy rezultatów, witamy nowego regjonalistę! **A. S.**

Stefan Papée:

Jak wyzyskać kulturę miejscowego środowiska dla przeprowadzenia osi programowej

„Polska i jej kultura". Poznań 1934. Str. 16.

Tytuł mówi dokładnie o co chodzi. Jak wiadomo, według statutu nowego gimnazjum, celem szkoły średniej jest między innemi praca nad poznawaniem i pomnażaniem dorobku kulturalnego regjonu, w którym szkoła się znajduje. Jest to bardzo ważny punkt statutu, dla szkoły samej i dla regjonalistów, którzy nie przez wszystkie czynniki byli zrozumiani, mimo zgoła innego stanowiska ministerstwa. Dziś wyzyskiwanie kultury miejscowej w szkole jest nawet postulatem programowym. A byli nauczyciele, co pojęcia nie mieli o ziemi, ludziach i ich dorobku, z którego dobrodziejstw czerpali. Dziś nawet sama metoda poglądowa nauki wymaga znajomości terenu i jego osobliwości, bo inaczej znów werbalizm dojdzie do głosu. Sami o tem pisaliśmy (np. w Dzienniku Poznańskim) a teraz niektóre myśli nasze walnie poparł znany regjonalista i pedagog, dr. St. Papée.

Rzecz wyszła jako odbitka z Dziennika Urzędowego Kuratorjum O. S. Pozn., to też może choć ta suggestja skłoni nauczycieli do przeczytania praktycznych i ważnych uwag autora.

Dla uczących w gimnazjach nowego typu (na terenie wielkopolskim) są one niezbędne i stanowią jakoby krótki przewodnik metodyczny regjonalistyki. Ale i dla nauczycieli z innych regjonów kraju stanowią informującą i pożyteczną wskazówkę programową. **A. S.**

Tymon Terlecki:

Listy tureckie Ryszarda Berwińskiego do Władysława Bentkowskiego i Karola Libelta

Odb. z Kroniki Miasta Poznania roczn. 1932 i 1933, str. 32.

Listy te, wydane z spuścizny rękopiśmiennej po Berwińskim, pochodzą z lat 1859-61. Berwiński po upadku powstania wielkopolskiego w r. 1848 przyjął jeszcze mandat do sejmu pruskiego, w roku 1854 rzucił go jednak i podniósł na nowo myśl zbrojnej akcji dla odzyskania niepodległości. Wyjechał do Turcji i tam razem z powieściopisarzem Czajkowskim próbował stworzyć zaczątek armji polskiej i zainteresować w ten sposób również państwa zachodnie sprawą polską. Nie udało mu się jednak pozyskać dla tej myśli nawet własnej dzielnicy wielkopolskiej. Pisze do Bentkowskiego, swego przyjaciela i redaktora „Dziennika Poznańskiego", do Libelta, pisze i do innych i daje szerokie wywody porównując położenie narodu polskiego z włoskim, którego zjednoczenie właśnie zostało dokonane. Nie otrzymał jednak żadnej odpowiedzi, tylko Bentkowski odezwał się wymijająco, jednak nie z obojętności narodowej, bo sam niebawem pospieszył w szeregi powstańców styczniowych.

Program polityczny Berwińskiego, liczący na interwencję turecką, nie miał zupełnie w ówczesnej chwili widoków na realizację. Turcja, chociaż przychylnie usposobiona dla sprawy polskiej, jednak sama była słaba, Anglja i Francja zaś sprawy tej wcale podejmować nie chciały.

Plan, poczęty z gorącego serca nieszczęśliwego poety wielkopolskiego, pozostał więc tylko dowodem daleko sięgającej myśli i głębokiej ofiary autora.

St. Pomykaj.

Józef Morzewski:

Polska wyspa w powiecie chodzieskim za czasów zaborczych

Prawie równocześnie z monografją Ks. Kurpisza o kościołach chodzieskich wychodzi nieduża książka Józefa Morzewskiego p. t. „Polska wyspa w powiecie chodzieskim za czasów zaborczych, ułożył i wydał syn tej ziemi Józef Morzewski, Chodzież, 1932".

Książeczka jest wyrazem gorącej miłości ojczyzny autora, który tłumaczy, dlaczego on właśnie podjął się opisania historji Morzewa, wioski w powiecie chodzieskim: „Niech zapamięta pokolenie wychowane w wolnej ojczyźnie, jak żyliśmy, cierpieli i pracowali pod panowaniem obcem... Ziemia, na której mieszkamy jest okupiona żywotnością ducha narodowego, naszym trudem i potem, naszą krwią. Myśmy świadomie nadali jej tę przynależność państwową, przy której chcemy być szczęśliwi".

Książka Morzewskiego jest popularną monografją wioski w powiecie chodzieskim. Ożywiają ją wspomnienia autora z czasów szkolnych.

Barwnie przedstawia autor na podstawie własnych przeżyć, w jaki sposób chcieli Niemcy zabić w ludzie polskim ducha polskiego.

Jego odporność w tych okolicach była tak silna, że Niemcy nazwali okolice po prawej stronie Noteci od ujścia Głdy do granicy powiatu wyrzyskiego „Polską Wyspą". I to uświadomienie narodowe było powodem, że dzisiejszą część powiatu chodzieskiego za Notecią przyłączono do Polski.

Wartość książeczki polega na bardzo bogatym materjale pamiętnikarskim. Przesuwają się przed naszemi oczami katowane dzieci polskie za uporczywe milczenie na lekcjach religji, gdy żądano od nich odpowiedzi w języku niemieckim. Wzrusza nas autor opisem obchodu kościuszkowskiego w roku 1894. Młodzież wioski postanowiła odtworzyć obraz przysięgi Kościuszki na rynku krakowskim, a mundury historyczne, szable, kosy itp. sporządziła sama własnym kosztem. W przedstawieniu wzięła udział konnica, wojska linjowe i kosynierzy. Innym razem wystawiono „Obronę Trembowli". Co za imponujący rozmach żywiołu patrjotycznego. Barwnie i plastycznie przedstawia też autor walki z Niemcami o ziemię chodzieską.

Bez krzyku, bez wielkich słów odczuwało się ducha polskiego w czasach beznadziejnie smutnych.

Przy lekturze książki Morzewskiego dochodzi się do wniosku, że co pisze autor o Morzewie i okolicy, jest wyrazem ogólnej atmosfery polskiej w Wielkopolsce. I rośnie w sercu Polaka optymizm, że rycerskość, duch poświęcenia, miłość ojczyzny, są integralną cechą psychiki Polaka. Że w chwilach dziejowych ważnych występują one u Polaka w całej swej okazałości.

Antoni Harasiewicz.

Zdzisław Durczewski:

Powiat krotoszyński w czasach przedhistorycznych

z 250 rycinami i 4 mapkami.
Odbitka z „Przeglądu Archeologicznego" Tom IV, zesz. 3, Poznań 1833. Czcionkami Drukarni Uniwersytetu Poznańskiego. 4° str. IV i 20.

Nieraz już na tem miejscu zdawaliśmy sprawę z prac poznańskich prehistoryków i obecnie podkreślić musimy, że prehistorja na naszych zachodnich kresach jest jedną z tych gałęzi nauk, która stara się spopularyzować wśród najszerszych warstw. W licznych pracach monograficznych poszcz. regjonów zawsze znaleźć możemy prehistorję danego regjonu, a poszcz. samodzielne opracowania, zamieszczone w pismach naukowych, dochodzą do szerszych kół czytelniczych w osobnych odbitkach.

Przypomnimy tu prace prof. Kostrzewskiego, (którego niezaprzeczoną zasługą jest stałe dążenie do popularyzacji gałęzi wiedzy, którą się zajmuje i stworzenie odpowiednich sił naukowych) — „Poznań w czasach przedhistorycznych", „Pradzieje Bydgoszczy"; prace mgr. Rajewskiego o powiecie wrzesińskim, o powiecie gostyńskim i o powiecie rawickim (niepublikowana); prace mgr. Jażdżewskiego: „Pradzieje Wielichowa i jego najbliższej okolicy" i Koła Prehistoryków o powiecie poznańskim (niepublikowane). Plan naukowy na najbliższy czas obejmuje opracowanie dalszych powiatów, jak kościański, śmigielski, leszczyński i ostrowski. Wszystkie te prace pozwolą w przyszłości, po przeprowadzeniu dalszych badań terenowych, dać dokładny obraz naszej ziemi z czasów, gdzie nie było jeszcze dokumentów pisanych.

Mamy przed sobą nową pracę mgr. Durczewskiego o powiecie krotoszyńskim. We wstępie daje autor wprowadzenie ogólne do nauki prehistorji (a więc objaśnia podziały na epoki); dalej daje część opisową, czyli wyniki swych badań, a wkońcu przytacza materjał znaleziskowy. Pracę uzupełnia zwięzłe streszczenie w języku francuskim.

J. Deresiewicz.

Wesele krotoszyńskie

Obraz ludoznawczy w 5 odsłonach.— Praca zbiorowa członków Koła Krajoznawczego przy Państw. Gimnazjum im. ks. Hugona Kołłątaja w Krotoszynie. Z przedmową prof. Wojciecha Reisinga. Krotoszyn 1933. Nakł. Koła Krajoznawczego. Str. 72.

Intensywnie pracujące Koło Krajoznawcze gimnazjum krotoszyńskiego wydało ostatnio w formie książeczki pracę zbiorową swych członków p. t. „Wesele krotoszyńskie", wzbagacając wielkopolską literaturę regjonalną o cenne dziełko ludoznawcze.

Materjały redakcyjne do tego wydawnictwa zebrali: Michał Jagła, śp. St. Musieliński, Edw. Zyber, Lucjan Kubiatowicz, Fr. Szymura, Juljan Zimniak, Ant. Niziołkiewicz, St. Kurzawa i Fr. Herdach. Wyniki ich trzyletnich badań obrzędów weselnych na terenie całego powiatu krotoszyńskiego posłużyły ostatecznie młodemu, ale utalentowanemu regjonaliście, Michałowi Jagle za punkt oparcia przy opracowywaniu scenarjusza „Wesela". — „Wesele krotoszyńskie" — to synteza bystro dostrzeżonych ciekawostek bytu, obyczaju i umysłowości ludu z regjonu krotoszyńskiego. Całość tego doskonałego „obrazu ludoznawczego" podzielona jest na 5 części (odsłon). Odsłona I. obrazuje ciekawe „Zmówiny", a odsł. II. — „Prosiny". W odsł. III. przedstawiono chwile „Przed ślubem". Odsłona IV. i V. — „Wesele" — inscenizuje pierwszy i drugi dzień wesela. Na wstępie dziełka umieszczono opis pięknych ubiorów weselników. Zanikające od r. 1900 ubiory ludu okolic Krotoszyna są naprawdę piękne. Cztery kolorowe wkładki, również udatna praca młodych regjonalistów, doskonale ilustrują malowniczość ubiorów: młodej pary, drużbów, młodej mężatki z parobkiem oraz kobiety w „spencerku" i dziewki.

Książkę zamyka załącznik melodyj do pieśni w scenarjuszu.

Styl scenarjusza „Wesela" jest żywy i pełny temperamentu gwary ludu krotoszyńskiego. Przedmowę do starannie wydanego dziełka napisał prof. Wojciech Reising.

St. Wojcieszak.

Ks. kan. Stanisław D. Kozierowski:

Schematyzm historyczny ustrojów parafjalnych dzisiejszej archidiecezji gnieźnieńskiej

Poznań 1934. Nakładem autora. Drukarnia Dziennika Poznańsk. Str. 256.

Książka, o dość specjalnym tytule, może łatwo ujść uwadze nietylko historyka stosunków gospodarczych i badacza starych rodów, ale jeszcze prędzej uwadze historyka czy miłośnika sztuki i krajoznawcy. A wszyscy, nietylko proboszczowie, znajdą tu dla siebie sporo ciekawych szczegółów. Autor wyświetla nietylko początki organizacyj parafjalnych, kto i kiedy założył i uposażył nasze kościoły, czy królowie, książęta czy możni panowie — Awdańce, Doliwowie, Nałęczowie, Pałukowie, Pomianowie i Poraje — czy arcybiskupi, biskupi i opaci, ale i przytacza materjał topograficzny, który coś powiedzieć potrafi, mówi o uposażeniu kościoła ziemią, dziesięcinami, różnemi czynszami, dalej o obowiązkach proboszczy itd.

Uczony winnogórski skreślił nam przeszło 250 zwięzłych jakoby życiorysów kościelnych, coś w rodzaju encyklopedji podręcznej z mnóstwem szczegółów gospodarczych, zwyczajowych, oświatowych itd.

Oto mała próbka, spod hasła: Września, spreparowana naprzykład dla krajoznawcy: Miasto nad Wrześnicą, zwaną niegdyś także Wrześniom, Wrześną i Wrzesionką od wrzosen zarosłej okolicy. Od połowy XIII. do końca XV. wieku znani stąd Poraje cz. Różyce... ci właśnie założyli i uposażyli kościół parafjalny. Tytuł jego: św. Stanisław. Proboszcz utrzymywał 2 wikarych i nauczyciela. Wikarzy otrzymywali rocznie po 30 ćwiertni zboża, tj. 15 żyta i 15 owsa i 1/2 ofiar z ołtarza, nauczyciel zaś meszne z Zawodzia... Murowany dom Boży w stylu późnogotyckim z wieżą, budowany jako trzynawowa bazylika o nawie w środku wyższej, pochodzi z poł. XV. w... Kościółek drewniany św. Krzyża z źródłem... na miejscu zw. Lipówka, znanem już r. 1497, po pożarze r. 1664 został odbudowany. Starych nazw w okolicy mnóstwo np. Gorzkówka, Grabownica, Żórawiec, Lubownica, Pogoźnica, Grodzisko u Psar itd. Patronat należy do majętności wrzesińskiej. — Historyk np. gospodarczy zwróci znów baczniejszą uwagę na inne szczegóły tej ciekawej, a sumiennie wykonanej pracy.

Nowy to przyczynek w wieńcu zasług niezmordowanego badacza naszej przeszłości. Ks. St. Kozierowski jest dziś, po śmierci B. Grzepkiego, najlepszym znawcą rzeczy wielkopolskich i największą chlubą naukową duchowieństwa wielkopolskiego.

A. Szyperski.

KRONIKA

— Związek Zrzeszeń Artystycznych i Kulturalnych w Poznaniu powstaje z inicjatywy prezesa Związku Zawod. Literat. Wielkop. p. Zenona Kosidowskiego oraz Henryka Jackowskiego — prezesa „Plastyki" stowarzyszenia art. plast. wielkopolskich. Siedzibą związku będzie historyczny pałac Działyńskich przy Starym Rynku, w którym, pod kierunkiem H. Jackowskiego odnowiono i umeblowano już salę recepcyjną oraz osiem komnat. Fakt, że piękne zabytkowe lokale zostały oddane do użytku ruchu kulturalnego, jest w pierwszym rzędzie zasługą wojew. Bnińskiego, prezesa zarządu Fundacji Kórnickiej, którego decyzja w tej sprawie była ostateczna. Organizacja Związku Zrzeszeń przedstawia się następująco: Na czele stanie Presidium Honorowe, zwołujące Radę Główną, która powołuje do życia Zarząd i swemi uchwałami kieruje wszystkiemi oddziałami Związku. Projektuje się cztery oddziały: I. Kultury i Sztuki (Teatry, Wystawy, Scena doświadczalna, Muzyka kameralna, Odczyty, Wykłady, Wieczory autorskie i i.), II. Prasowy (Redakcja pisma, Wydawnictwa, Książki), III. Gospodarczy (Imprezy, Letnisko dla artystów), IV. Administracyjny (Sekretarjat, Kasa). Wici W. powrócą jeszcze, w obszernym artykule, do spraw Związku Zrzeszeń. Dziś notujemy tylko pocieszający fakt — organizowania i ujmowania w konkretne ramy organizacyjne — rozbitego życia artystycznego stolicy Wielkopolski.

— „W Centrum Życia Wielkopolski". Pod takim tytułem ukaże się niebawem w Oficynie Andrzeja Prądzyńskiego książka Czesława Kędzierskiego, ujmująca w szeregu rozdziałów niezwykle dla kultury regjonu ciekawą historję „Koła Towarzyskiego" w Poznaniu.

— Antoni Kawczyński, znany, utalentowany prozaik poznański, ogłosił nakładem R. Wegnera (Wydawnictwo Polskie) swą powieść pt. „Mężczyźni Dokoła Eweliny". Autor „Mężczyzn" pracuje obecnie nad powieścią regjonalną, której tłem będzie wrzesiński browar.

— Z Wielkopolski literackiej. A. B. C. Literackie (Nr. 30) zamieszcza pod powyższym tytułem artykuł Alfreda Jesionowskiego. Wybitny krytyk młodego pokolenia wielkopolskiego omawia dorobek „Wici Wielkopolskich" oraz Tomiki Biblioteki Wici: A. Szyperskiego „Geografję Talentów Wielkpolskich" i Stanisława Czernika „Przyjaźń z Ziemią". Nadto — Franciszka Becińskiego: „Maki i Modraki".

— Stulecie „Przyjaciela Ludu" — przypomina „Dziennik Bydgoski" w dziale Naukowym (nr. 165) pod znamiennym tytułem „U źródeł prasy wielkopolskiej".

— Życie Literackie. Jako dodatek miesięczny do „Dziennika Poznańskiego" ukazał się pierwszy zeszyt Organu Związku Zawodowego Literatów Polskich w Poznaniu. Jak nas informują, „Życie Liter." usamodzielni się z chwilą uruchomienia działalności Związku Zrzeszeń.

— Semafor. Jako dodatek Literacki do „Słowa ziemi szamotulskiej" ukazał się pierwszy numer czasopisma, którego redaktorem jest L. Wachowiak.

— Leonard Turkowski — młody poeta poznański, przygotował do druku tom wierszy, który ukaże się w jednym z dalszych tomików Biblioteki Wici W.

— Solacz w Nocy. Taki jest tytuł zbioru poezyj Józefa Kowalskiego. Znany grafik M. Ziółkowski zaopatrzył tomik w kilka barwnych autolitografij.

— Walki o Rawicz — oraz swe wspomnienia z powstania wielkopolskiego ujął ks. Zdzisław Zakrzewski w tom odbity czcionkami drukarni Orędownika Powiatowego w Rawiczu.

— Wieś Jej Pieśń. Ukazał się już ósmy zeszyt miesięcznika, będącego organem Literatów Ludowych w Polsce i interesującą próbą odkrywania i organizowania wszystkich talentów ludowych.

— Oficyna Andrzeja Prądzyńskiego uzyskała na Wystawie Regjonalnej w Ostrzeszowie „Dyplom Uznania" za wydawnictwa „Wici Wlkp." i Bibliotekę Wici.

— Wrześniowy zeszyt Wici W. przyniesie programowy artykuł Stanisława Czernika p. t. „Pan Tadeusz a Poezja dzisiejsza" oraz wywiad red. „Wici" z kierownikiem literackim polskiego Radja w Poznaniu dr. Z. Kosidowskim p. t. „Radjo i Regjon".

Cena: pojedyńczy numer 40 gr. Prenumerata wprost z administracji z przesyłką kwartalnie 1,50 zł, półrocznie 3,00 zł, całorocznie 6,00 zł. Na poczcie tylko kwartalnie zł 1,05.

Do nabycia we wszystkich kioskach „Ruchu", we wszystkich kioskach gazetowych Poznania i Bydgoszczy, we wszystkich większych księgarniach Wielkopolski. - W Warszawie: Księg. Gustawa Szylinga, ul. Szpitalna 10. - W Krakowie: Księg. D. E. Friedlein.

Redakcja: Poznań, ul. Działyńskich 7. — Przedstawiciel redakcji J. Deresiewicz przyjmuje w poniedziałki i czwartki od godziny 3—4. — Przedstawiciel redakcji na Warszawę: Dr. St. Helsztyński, ul. Grottgera 19 m. 13 - Tel. 8.45.48.

Korespondencje kierować należy do Administracji i sekretarjatu redakcji: Września, ul. Poznańska 6.

Nakładem i drukiem A. Prądzyńskiego we Wrześni. Konto P. K. O. Poznań № 200.057.